

T TEATR

Ostatnie
premiery
teatru
Hübnera

NOMEN
OMEN
POWSZECHNY

JACEK SIERADZKI

Są huczne brawa i stojąca owacja na zakończenie. W trakcie spektaklu także doskonale można wyczuć skupienie, zaniepokojenie sali — uważne, zyciwe słuchanie. „Lekcja polskiego” najwidoczniej szczerze i bez pozaarty-
stycznego dopingu podoba się widowni. A komu się nie podoba? Garstka skwaszonych jajogłowych, którzy krę-
cąc nosami i nie chcąc przyjąć do wiadomości, że inscenizacja ta powstała właśnie po to, by się szerokiej widowni podobać.

DOMAGAJĄC SIĘ od artystów twórczości wysoce ambitnej, dostrzegając i premiując tylko dzieła najbardziej wysublimowane, oddaliśmy cały ogromny obszar literatury popularnej w niepodzielne władanie szmirze i tandecie. I zapomnia-
liśmy, że łwia część teatralnej klasyki, tudzież znakomita większość tego, co dziś najciekawsze na scenach wielu

krajów, powstawała i powstaje na po-
graniczu sztuki wysokiej i niskiej, eli-
tarnej i popularnej. Na świecie wciąż
są w cenie gatunki, o których teatr
polski zapominał, lub jest wobec nich
bezzadny: psychologiczne romanse i
ambitne melodramaty, ambitne kome-
die, farsy — mniej ambitne, za to
zmajstrowane jak szwajcarski zegarek,
także różne typy satyry: społeczna, po-
lityczna, etc. Słowem swoista „drama-
turgia środka” zadowolająca i koneser-
a, i widza cokolwiek przypadkowego.
Doskonały przykład takiej dramatologii
przywiódł na ubiegłoroczne V Między-
narodowe Spotkania Teatralne londyń-
ski Royal Court: „Dla dobra ojczy-
ny”, epizod z początków kolonizacji
Australii, tyleż szlachetny, co wido-
wiskowy, w miarę dramatyczny, w mia-
rę sentymentalny, nieco naiwny.

Bodaj jedyną pozycją z dzisiejszego
naszego repertuaru, jaką można by
bez wstydu posłać Anglikom w rewanzu
mógłby być spektakl, o którym by-
ła mowa na początku: „Lekcja pol-
skiego”. Rzadki okaz wymierającego
gatunku: melodramat historyczno-pa-
triotyczny.

Miejsce akcji: Szwajcaria. Naczel-
nik Kościuszko w niebohaterskiej sy-
tuacji: stary i biedny, hańdzący szy-
delkiem, komponujący salonowe wal-
ce. Upiornie samotny. Naprzeciwko E-
milka: pół-dziecko, pół-kobieta, naiw-
na i pozbawiona złudzeń jednocześ-
nie. Stary cudzoziemiec jest może je-
dynym tu człowiekiem godnym jej
niepraktycznego uczucia. Oto wspina-
ły materiał na stylowy romans: de-
likatny, skrywany w niedopowiedze-
niach, nawet namiętny, choć oczywiście
platoniczny. Któż lepiej mógłby
romans taki ułożyć od Anny Bojarskiej,
autorki nie tylko paru powieści, ale i
„Madonny pekaesów”, zbioru recenzji
z omalże wszystkich światowych czy-
tań, jakie się na naszych półkach
ostatnimi laty pojawiły; doskonale
zatem specjalistki w dziedzinie litera-
tury popularnej. Jako melodramat
rzecz skonstruowana jest bez zarzutu,
jako atrakcyjne widowisko także. Po-
dejrzewam przy tym, że sztuka pisa-
na była z myślą o konkretnych wy-
konawcach. Autorka mogła być spo-
kojna, że Tadeusz Lomnicki nie za-
nudzi widowni wielominutowymi
wspomnieniami Kościuszki, a Joanna
Szczepkowska nie pogubi się w psy-
chicznych meandrach szwajcarskiej
wielbicielki lekcji polskiego.

I nauczyciela, i uczennicę życie po-
stawiało w sytuacjach kretyńsko nie-
zręcznych. Kościuszko dla większości
rodaków zginął przecież pod Maciejow-
wicami; mało kto wiedział o jego póź-
niejszych losach, w tym o próbach —
ostrożnych i bardzo nieskutecznych —
powrotu do gry politycznej w czasach
Napoleona i Kongresu Wiedeńskiego.
Stary wódz Insurekcji doskonale tu
rozumie, iż w gruncie rzeczy powinien
przeproszać, że żyje tak długo i pu-
je heroiczny wizerunek samego siebie.
Z kolei ojciec Emilii Zeltner za ugo-
dowość wobec Napoleona zapłacił ma-
jątkiem i infamią nałożoną przez swoich
rodaków, których próbował tą uleg-
łością ochraniać. Dziewczyna musi
przeczekać, aż sprawa przycichnie, ty-
lko nie wolno jej się starzeć, co komu
później po starej pannie; zatem od lat
ma lat dwanaście i wobec każdego
gościa musi wchodzić w rolę smarkat-
ki. Upokarzająca ironia losu — z któ-
rej obydwójce doskonale zdają sobie
sprawę; potrafią bezlitośnie trzeźwo

postrzegać swoje położenie — dodatko-
wo ich jeszcze łączy, a ponadto nada-
je całej teatralnej opowieści posmak
cierpkiej, melancholijnej goryczy, ton
subtelny i niezwykły: niebanalny. Jest
to na pewno dodatkowy walor spek-
taklu — zaciekawiający, ułatwiający
odbior.

Aliści jeżeli Anna Bojarska — nie
tylko przecież powieściopisarka i mi-
łośniczka czytań, ale i autorka ese-
jów historycznych odważnie, niekiedy
wyzwijająco mierząca się z narodowy-
mi pomnikami — pragnęła wpisać w
swoją melodramat refleksję ciut poważ-
niejszą na temat historii, to, mówiąc
otwarcie, nie wyszło z tego nic. „Lek-
cja polskiego” w swoim, nazwijmy to,
mentorstwie historyzoficznym utkana
jest z truizmów. Wszystkie uwagi o
niewdzięczności narodu wobec prze-
granych wodzów, o łatwości tworzenia
pomników z żywych ludzi, o przedkła-

przybywająca do Szwajcarii już po
pogrzebie narodowa delegacja zyskała
tak karykaturalną postać (stare, pa-
radne stroje, nadęte miny, demonstra-
cyjne, przesadne reakcje), że ponie-
którzy skwaszeni jajogłowi zaczęli się
nawet zastanawiać, czy całość nie jest
przypadkiem podszyta parodią. Tak
czy owak ostatni bój Emilki z Polską
o pamięć po Kościuszcze stracił jakąś
niepoważną wagę; rozplynał się wśród
niepoważnych kukulek w kontuszach.
Ale czy to są zarzuty na miejscu?
Wobec melodramatu? „Dramaturgia
środką” bardzo często bywa obła, u-
temperowana, ostrość konfliktów roz-
mywa się w nastrojach, melancholiach,
ironiach. Można nie lubić tego typu
popularnej sztuki — i w tej mierze
chętnie się przyłączam do jajogłowych,
którzy mają w wielu rozmowach na ten
spektakl grymasili — ale trzeba lojal-
nie przyznać, że w swojej klasie ga-
tunkowej wszystko jest w porządku,

głowy, że mogą zainteresować kogoś,
a tym bardziej zagranicę. Tymczasem
(...) te jednoaktówki stały się najpopu-
larniejsze ze wszystkiego, co w ostat-
nim okresie napisałem”. Trudno się
dziwić: to miniaturki z warsztatu
majstra. Można by je ochrzcić wspólnym
tytułem: „ze szkieletu dysy-
denta”. W „Audiencji” portrecista tra-
fił do browaru. Browarnik został już
uprzedzony (przez miejscowego bez-
pieczniaka), kim jest jego nowy pra-
cownik, teraz musi „nawiązać stosun-
ki”. Podczas pierwszej „audien-
cji” targają nim dziesiątki sprzeczności: nie-
pewność pokrywana jowialnością, nie-
zdarność i chłopski spryt, rosnące pod-
niecenie piweczką, antyinteligentne
kompleksy, wstyd, upojenie chwilową
przewagą, obawa przed niezrozumie-
niem słów rozmówcy, rzeczywiste ich
niezrozumienie, swoisty szacunek wo-
bec partnera, wściekłość na samego
siebie za ten szacunek itd.

potoków kabotyństwa, którymi tryska
tchórzliwy pisarz — kolejny portreto-
wany w szkieletu dysydenta — nie
bardzo potrafi wyłowić krótką chwilę
prawdy. Zaś grający w obydwu jed-
noaktówkach dysydenta Mariusz Benoît
najszlachetniej chowa się w cieniu: ta
postać jest u Havla biała bezbarwna,
przezroczysta, pomocnicza tylko. W
tych jednoaktówkach chodzi wyłącznie
o portreciki ludzi skłamanych, uwil-
kanych w tysięczne sieci, ludzi niezbyt
wielkiego formatu i świadomych włas-
nej małości; Feliks Falk znakomicie
to bogactwo małych charakterów po-
wydobywał. Nie ma tu natomiast —
jak i nie było w „Lekcji polskiego”
konfliktów, starć, sprawiedliwie roz-
łożonych poglądów, konfrontacji postaw;
od początku do końca wiadomo, kto ma
rację. To też taka dramaturgia środ-
ka: bezkonfliktowa, trochę obła. I zaw-
sze się podobająca.

DWA LATA TEMU, po premie-
rach „Lewczki” i „Ganderobian-
nego” napisałem tekst pod niez-
byt fortunnym tytułem „Przychylny
szmerek widowni”; był on podobny
w tonie i wnioskach do tego, który piszę
teraz. Mówiono mi później, że Zygmunt
Hübner dosyć się zeżłił na tę
recenzję; w felietonach, które przy-
syłał do „Dialogu” nieźle się wtedy
parę razy krytykom oberwało za calo-
kształt. Mnie z kolei zeżłiło wtedy to
zeżalenie Hübnera; w końcu jeśli zosta-
ło napisane „poprzeczkę Powszechnego
widzę wyżej niż poziom inteligentnej
rozrywki (choć poziom ten, powta-
rzam, także mało kto osiąga)” —
to przymówka podszyta była dosyć o-
czywistym komplementem. Ze swego
stanowiska nie wycofuję się także i
dziś — uwagi o Havlu i „Lekcji pol-
skiego”, Hübnerowskich przecież pre-
mierach, świadczą o tym dowodnie.

Inaczej jednak myśli się o zjawis-
kach w ruchu, w rozwoju, inaczej o
rozdziałach już zamkniętych.

Dziś, z uogólniającej perspektywy,
widać już wyraźnie, jak konsekwentnie
i równo prowadzony był ostatni teatr
Zygmunta Hübnera, nomen omen Pow-
szechny, meandrujący pomiędzy gu-
stem zwykłego widza a grymasami ja-
jogłowych. Hübner nie zapominał, że
teatr musi być atrakcyjny, lecz nie za
każdą cenę, raczej za cenę starannie
skalkulowaną. Ze powinien być ele-
gancki. Ze powinien współgrać z chwi-
lą, choć nie może oddawać się w nie-
wolę szaleństwu chwili. Ze nie powi-
nien dąć się ponad stan. Sporo takich
maksym można jeszcze próbować for-
mułować: wszystkie będą świadect-
wem umiaru. Ten nieefektywny umiar
— który można było lubić, lub nie —
decydował o randze i miejscu Pow-
szechnego w teatrze polskim. Hübner
był doskonałym nawigatorem, prowa-
dził teatr równo i pewnie. Czy jego u-
miar nie zabraknie dziś kolegom po
fachu nawigującym swe statki — teat-
ry na spotkanie nieuchronnie nadcią-
gających burz?

Anna Bojarska: LEKCJA POLSKIEGO.
Reżyseria: Andrzej Wajda, scenografia:
Krzysztof Zachwałowicz, muzyka: Tadeusz
Kościuszko, opracowanie muzyczne: Ja-
nusz Stoklosa. Prapremiera w Teatrze
Powszechnym w Warszawie 23 września
1988.

Vaclav Havel: AUDIENCIA, PROTEST.
Przeład: Andrzej Sławomir Jagodziński,
reżyseria: Feliks Falk, scenografia: Krzy-
stof Baumliller, Prapremiera polska w
Teatrze Powszechnym w Warszawie 21
listopada 1981, wznowienie 25 lutego 1989.



Kazimierz KACZOR i Mariusz BENOIT w jednoaktówce V. Havla „Audienca” w Teatrze Powszechnym w Warszawie. reż. F. Falka.

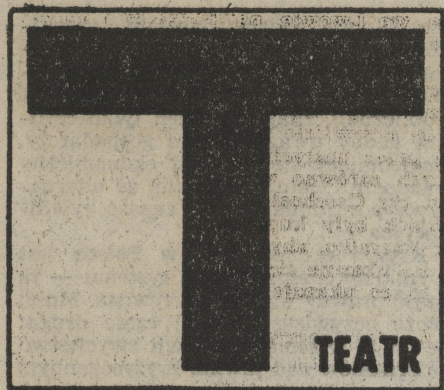
daniu pięknych gestów nad kalkula-
cję polityczną — publicystyka wyo-
bracała już setki razy; doprawdy trud-
no je uznać za świeże. Co więcej, ba-
nalność złotych myśli jest tu w strasz-
liwie banalny sposób opakowana in-
scenizacyjnie. Krystyna Zachwałowicz
umieściła bohaterów na podestu w
centrum sceny i otoczyła Panoramą
Racławicką, zaś Andrzej Wajda pod-
świetlił ją w kulminacyjnym punkcie
Kościuszkowskich wspomnień; z gło-
śnika wtedy płynęły odgłosy bitwy, tra-
bek, szczeł oręża... W finale z kolei

nawet te banały mieszczą się w nor-
mie. A widowni się podoba i — gdy
się pamięta, jaki towar wciskany jest
dziś w opakowaniu sztuki popularnej
— trudno jej odmówić trafności wybo-
ru.

Widowni podoba się także wieczór
jednoaktówek Vaclava Havla szczęśli-
wie odwieszony po siedmiu latach.
„Napisałem je szybko — czytamy w
autorskim autokomentarzu — z ochotą
i właściwie tylko po to, aby zabawić
przyjaciół. W ogóle nie przyszło mi do

Warto wybrać się do Powszechnego,
by zobaczyć, jak wspaniale jest to na-
pisać i jak znakomicie Kazimierz Ka-
czor przekłada to na gesty, sposób
chodzenia, nerwowe obciąganie piwecz-
ka, taniec wokół rozmówcy, etc. Ta
kreacja — w której nie ma krztyny
aktorskiej minodarii, zachłystnięcia się
warsztatem; jest tyle aktorstwa ile
trzeba i nic ponadto — warta jest
wszystkich nagród.

Słabsza jest druga jednoaktówka
„Protest” i nie tak olśniewające ak-
torstwo; Władysław Kowalski spod



Ostatnie
premiery
teatru
Hübnera

NOMEN OMEN POWSZECHNY

JACEK SIERADZKI

Są huczne brawa i stojąca owacja na zakończenie. W trakcie spektaklu także doskonale można wyczuć skupienie, zaciekawienie sali — uważne, życzliwe słuchanie. „Lekcja polskiego” najwidoczniej szczerze i bez pozartystycznego dopingu podoba się widzowi. A komu się nie podoba? Garstce skwaszonych jajogłowych, którzy kręczą nosami i nie chcą przyjąć do wiadomości, że inscenizacja ta powstała właśnie po to, by się szerokiej widowni podobać.

DOMAGAJĄC SIĘ od artystów twórczości wysoce ambitnej, dostarczając i premiując tylko dzieła najbardziej wysublimowane, oddaliśmy cały ogromny obszar literatury popularnej w niepodzielne władanie szmirze i tandecie. I zapomnieliśmy, że lwia część teatralnej klasyki, tudzież makomita większość tego, co dziś najciekawsze na scenach wielu

krajów, powstawała i powstaje na pograniczu sztuki, wysokiej i niskiej, elitarniej i popularnej. Na świecie wciąż są w cenie gatunki, o których teatr polski zapominał, lub jest wobec nich bezradny: psychologiczne romanse i ambitne melodramaty, ambitne komedie, farsy — mniej ambitne, za to zmagistrowane jak szwajcarski zegarek, także różne typy satyry: społeczna, polityczna, etc. Słowem swoista „dramaturgia środka” zadowalająca i konesera, i widza cokolwiek przypadkowego. Doskonale przykładał takiej dramaturgii (przywodził na ubiegłoroczne V Międzynarodowe Spotkania Teatralne londyński Royal Court: „Dla dobra ojczyzny”, epizod z początków kolonizacji Australii, tyleż szlachetny, co widowiskowy, w miarę dramatyczny, w miarę sentymentalny, nieco naiwny.

Bodaj jedyną pozycją z dzisiejszego naszego repertuaru, jaką można by bez wstydu posłać Anglikom w rewanż mógłby być spektakl, o którym była mowa na początku: „Lekcja polskiego”. Rzadki okaz wymierającego gatunku: melodramat historyczno-patriotyczny.

Miejsce akcji: Szwajcaria. Naczelnik Kościuszko w niebohaterskiej sytuacji: stary i biedny, haftujący szydełkiem, komponujący salonowe walce. Upiornie samotny. Naprzeciwko Emilka: pół-dziecko, pół-kobieta, naiwna i pozbawiona złudzeń jednocześnie. Stary cudzoziemiec jest może jedynym tu człowiekiem godnym jej niepraktycznego uczucia. Oto wspaniały materiał na stylowy romans: delikatny, skrywany w niedopowiedzeniach, nawet namiętny, choć oczywiście platoniczny. Któż lepiej mógłby romans taki ułożyć od Anny Bojarskiej, autorki nie tylko paru powieści, ale i „Madonny pekaesów”, zbioru recenzji z omalże wszystkich światowych czytań, jakie się na naszych półkach ostatnimi laty pojawiły; doskonałej zatem specjalistki w dziedzinie literatury popularnej. Jako melodramat rzecz skonstruowana jest bez zarzutu, jako atrakcyjne widowisko także. Podejrzewam przy tym, że sztuka pisana była z myślą o konkretnych wykonawcach. Autorka mogła być spokojna, że Tadeusz Lomnicki nie zaudzi widowni wielominutowymi wspomnieniami Kościuszki, a Joanna Szczepkowska nie pogubi się w psychicznych meandrach szwajcarskiej wielbielki lekcji polskiego.

I nauczyciela, i uczennicę życie postawiło w sytuacjach kretyńsko niezręcznych. Kościuszko dla większości rodaków zginął przecież pod Maciejowicami; mało kto wiedział o jego późniejszych losach, w tym o próbach — ostrożnych i bardzo nieskutecznych — powrotu do gry politycznej w czasach Napoleona i Kongresu Wiedeńskiego. Stary wódz Insurekcji doskonale tu rozumie, iż w gruncie rzeczy powinien przeproszać, że żyje tak długo i psuje heroiczny wizerunek samego siebie. Z kolei ojciec Emilii Zeltner za ugodowość wobec Napoleona zapłacił majątkiem i infamią nałożoną przez swoich rodaków, których próbował tą uległością ochraniać. Dziewczyna musi przeczeć, że sprawa przychwień, tylko nie wolno jej się starzeć, co komu później po starej panie; zatem od lat ma lat dwanaście i wobec każdego gościa musi wchodzić w rolę smarkatej. Upokarzająca ironia losu — z której obydwójce doskonale zdają sobie sprawę; potrafią bezlitośnie trzeźwo

postrzegać swoje położenie — dodatkowo ich jeszcze łączy, a ponadto nadaje całej teatralnej opowieści posmak cierpkiej, melancholijnej gorczy, ton subtelny i niezwykle: niebanalny. Jest to na pewno dodatkowy walor spektaklu — zaciekawiający, ułatwiający odbiór.

Aliści jeżeli Anna Bojarska — nie tylko przecież powieściopisarka i miłośniczka czytań, ale i autorka esejów historycznych odważnie, niekiedy wyzywająco mierząca się z narodowymi pomnikami — pragnęła wpisać w swój melodramat refleksje ciut poważniejsze na temat historii, to, mówiąc otwarcie, nie wyszło z tego nic. „Lekcja polskiego” w swoim, nazwijmy to, mentorstwie historiozoficznym utkana jest z truizmów. Wszystkie uwagi o niewdzięczności narodu wobec przegranych wodzów, o łatwości tworzenia pomników z żywych ludzi, o przedkła-

przybywająca do Szwajcarii już po pogrzebie narodowa delegacja zyskała tak karykaturalną postać (stare, paradne stroje, nadęte miny, demonstracyjne, przesadne reakcje), że ponieważ skwaszeni jajogłowi zaczęli się nawet zastanawiać, czy całość nie jest przypadkiem podszyta parodią. Tak czy owak ostatni bój Emilki z Polską o pamięć po Kościuszcze stracił jakąkolwiek wagę: rozplynął się wśród niepoważnych kukielek w kontuszach.

Albo czy to są zarzuty na miejscu? Wobec melodramatu? „Dramaturgia środka” bardzo często bywa obła, utemperowana, ostrość konfliktów rozmywa się w nastrojach, melancholiach, ironiach. Można nie lubić tego typu popularnej sztuki — i w tej mierze chętnie się przyłączam do jajogłowych, którzy mi w wielu rozmowach na ten spektakl grymasili — ale trzeba lojalnie przyznać, że w swojej klasie gatunkowej wszystko jest w porządku.

głowy, że mogą zainteresować kogoś, a tym bardziej zagranicę. Tymczasem (...) te jednoaktówki stały się najpopularniejsze ze wszystkiego, co w ostatnim okresie napisałem”. Trudno się dziwić: to miniaturki z warsztatu majstra. Można by je ochrzcić wspólnym tytułem: „ze szkicownika dysydenta”. W „Audencji” portrecista trafił do browaru. Browarnik został już uprzedzony (przez miejscowego bezpieczniaka), kim jest jego nowy pracownik, teraz musi „nawiązać stosunki”. Podczas pierwszej „audycji” targają nim dziesiątki sprzeczności: niepewność pokrywana jowialnością, niezdarłość i chłopski spryt, rosnące podniecenie piweczkami, antyinteligentne kompleksy, wstyd, upojenie chwilową przewagą, obawa przed niezrozumieniem słów rozmówcy, rzeczywiste ich niezrozumienie, swoisty szacunek wobec partnera, wściekłość na samego siebie za ten szacunek itd.

potoków kabotyństwa, którymi tryska tchórzliwy pisarz — kolejny portretowany w szkicowniku dysydenta — nie bardzo potrafi wyłowić krótką chwilę prawdy. Zaś grający w obydwu jednoaktówkach dysydenta Mariusz Benoît najskuszej chowa się w cieniu: ta postać jest u Havla biała bezbarwna, przezroczysta. Pomocnicza tylko. W tych jednoaktówkach chodzi wyłącznie o portreciki ludzi skłamanych, uwikłanych w tysięczne sieci, ludzi niezbyt wielkiego formatu i świadomych własnej nicości; Feliks Falk znakomicie to bogactwo małych charakterów wydobywał. Nie ma tu natomiast — jak i nie było w „Lekcji polskiego” konfliktów, start, sprawiedliwie rozłożonych poglądów, konfrontacji postaw; od początku do końca wiadomo, kto ma rację. To też taka dramaturgia środka: bezkonfliktowa, trochę obła. I zawsze się podobająca.

DWA LATA TEMU, po premierach „Laweczki” i „Garderobiarnego” napisałem tekst pod niezbyt fortunnym tytułem „Przychylny szmerek widowni”; był on podobny w tonie i wnioskach do tego, który piszę teraz. Mówiono mi później, że Zygmunt Hübner dosyć się zeżlił na tę recenzję; w felietonach, które przysłał do „Dialogu” nieźle się wtedy parę razy krytykom oberwało za całokształt. Mnie z kolei zeżliło wtedy to zeżlenie Hübnera; w końcu jeśli zostało napisane „poprzeczka Powaszechnego widzę wyżej niż poziom inteligentnej rozrywki (choć poziom ten, powtarzam, także mało kto osiąga)” — to przymówka podszyta była dosyć oczywistym komplementem. Ze swego stanowiska nie wycofuję się także i dziś — uwagi o Havlu i „Lekcji polskiego”, Hübnerowskich przecież premierach, świadczą o tym dowodnie.

Inaczej jednak myśli się o zjawiskach w ruchu, w rozwoju, inaczej o rozdziałach już zamkniętych.

Dziś, z uogólniającej perspektywy, widać już wyraźnie, jak konsekwentnie i równo prowadzony był ostatni teatr Zygmunta Hübnera, nomen omen Powaszechny, meandrujący pomiędzy gustem zwykłego widza a grymasami jajogłowych. Hübner nie zapominał, że teatr musi być atrakcyjny, lecz nie za każdą cenę, raczej za cenę starannie skalkulowaną. Ze powinien być elegancki. Ze powinien współgrać z chwilą, choć nie może oddawać się w niewolę szaleństwu chwili. Ze nie powinien dąć się ponad stan. Sporo takich maksym można jeszcze próbować formułować: wszystkie będą świadectwem umiaru. Ten nieefektywny umiar — który można było lubić, lub nie — decydował o randze i miejscu Powaszechnego w teatrze polskim. Hübner był doskonałym nawigatorem, prowadził teatr równo i pewnie. Czy jego umiaru nie zabraknie dziś kolegom po fachu nawigującym swe statki — teatry na spotkanie nieuchronnie nadciągających burz?

Anna Bojarska: **LEKcja POLSKIEGO**. Reżyseria: Andrzej Wajda, scenografia: Krystyna Zachwatowicz, muzyka: Tadeusz Kościuszko, opracowanie muzyczne: Janusz Stokłosa. **Prapremiera w Teatrze Powszechnym w Warszawie 23 września 1988.**

Vaclav Havel: **AUDIENCIA. PROTEST**. Przekład: Andrzej Białowit Jagodziński, reżyseria: Feliks Falk, scenografia: Krzysztof Baumiller. **Prapremiera polska w Teatrze Powszechnym w Warszawie 21 listopada 1981, wznowienie 25 lutego 1988.**



Kazimierz KACZOR i Mariusz BENOIT w jednoaktówce V. Havla „Audycja” w Teatrze Powszechnym w Warszawie, reż. F. Falka.

daniu pięknych gestów nad kalkulację polityczną — publicystyka wyobrażała już setki razy; doprawdy trudno je uznać za świeże. Co więcej, banalność złotych myśli jest tu w straszliwie banalny sposób opakowana inscenizacyjnie. Krystyna Zachwatowicz umieściła bohaterów na podeście w centrum sceny i otoczyła panoramą Raciawicką, zaś Andrzej Wajda podświetlił ją w kulminacyjnym punkcie Kościuszkowskich wspomnień; z głosnika wtedy płynęły odgłosy bitwy, trąbek, szcęk oręża... W finale z kolei

nawet te banały mieszczą się w normie. A widowni się podoba i — gdy się pamięta, jaki towar wciskany jest dziś w opakowaniu sztuki popularnej — trudno jej odmówić trafności wyboru.

Widowni podoba się także wieczór jednoaktówek Vaclava Havla szczęśliwie odwołany po siedmiu latach. „Napisałem je szybko — czytamy w autorskim autokomentarzu — z ochotą i właściwie tylko po to, aby zabawić przyjaciół. W ogóle nie przyszło mi do

Warto wybrać się do Powaszechnego, by zobaczyć, jak wspaniale jest to napisane i jak znakomicie Kazimierz Kaczor przekłada to na gesty, sposób chodzenia, nerwowe obciążanie piweczka, taniec wokół rozmówcy, etc. Ta kreacja — w której nie ma krztyny aktorskiej minodarii, zachłystnięcia się warsztatem; jest tyle aktorstwa ile trzeba i nic ponadto — warta jest wszystkich nagród.

Słabsza jest druga jednoaktówka „Protest” i nie tak olśniewające aktorstwo; Władysław Kowalski spod